

We mgle

Wczesnym porankiem, kiedy jeszcze mgła unosiła się nad jeziorem, Mietek i Grzesiek ciągnęli na wózku jakąś ciężką, metalową skrzynię. Szli po piaszczystej, leśnej drodze, między wysokimi sosnami, więc nikomu nie przeszkadzało skrzywienie kół. Na tym odcinku drogi mogli iść swobodnie. Najniebezpieczniejszą trasę, od stodoły do lasu, przeszli prawie na palcach, wyzywając się nawzajem, a nawet chwilami grożąc wózkowi: „Niech ten wózek, k..., niech zaraz będzie cicho. Bo jak nie będzie cicho, to mu k... koła pouryvam”. Wszak hałas mógł pobudzić zawistnych sąsiadów, a przecież komendant Jarosławski już od dawna miał na nich oko. No, ale byli już w lesie, blisko jeziora i to ich uspokajało.

- Z dętki od traktora to nie łowiłeś, e? - zapytał Mietek, którego właśnie była kolej ciągnąć wózek.
- A na co mnie dętka, jak mam łódkę? - odparł gburowato Grzesiek.
- A, bo widzisz - ciągnął Mietek - ja łowiłem.
- K... i co z tego? - zakończył rozmowę Grzesiek.

Po tym krótkim dialogu resztę drogi trwali w milczeniu. Tylko słychać było stukanie dzięcioła - gdzieś. A mgła niosła daleko, daleko zgrzytanie wózka, który nic sobie z tego nie robił. Wszak miał na co narzekać - na ciężką, metalową skrzynię.

Żaden przyzwoity złodziej nigdy nie powie: „Idę kraść”. Powie raczej: „Jadę na jume”, albo „Idę po górale”, albo „Wpadnę do sklepu”. Całkiem niewinnie. Tak samo rabuś nie krzyczy: „Dawaj forsy!”. Powie: „Wyskocz pan, z łaski swojej, z portfela”, albo „Kup pan cegłę”, albo „Zadłużenie wobec Banku Światowego...”. Tak samo Mietek i Grzesiek powiedzieli swoim żonom przed zaśnięciem:

- Rano idę z Grześkiem (Mietkiem) na ryby.

Dotarli w końcu na miejsce - na brzeg jeziora, gdzie przypięta do stalowej szyny wybitej w ziemię, zamknięta na kłódkę z grubym łańcuchem, stała na wodzie łódka.

Zdjęli ze skrzyni przykrywający ją koc i pozostało tylko wnieść całe to żelastwo na łódkę.

- Nie tu, tam złap.
- No jeszcze, hop!
- Jeszcze raz!
- K..., ale ciężkie.
- Gdzie leziesz, na środek.
- K..., zaraz puszczę.
- Uwaga na palce.
- Trzymaj, trzymaj. Palce!
- Już?
- Już.
- Uwaga, kładziemy.
- No. - K..., muszę zapalić.
- Ja też.



Fot. Piotr Morawski

Jeszcze parę lat temu jezioro znajdowało się na terenie wojskowej jednostki radzieckiej. Żołnierzyki, wypełniając codzienne zadania, nie mieli dość czasu, aby przyjść tu z wędką, zrelaksować się, złowić parę rybek. Ot, od czasu do czasu któryś dla zabawy wrzucił do wody petardę. Ale tak poza tym - nie. Więc ryb w jeziorze było mnogo.

Ale skończyła się kanikuła. Ruskie musieli odejść. Na wiadomość o wyjeździe zaczęła się panika. Żołnierze wojsk radzieckich odsprzedawali mieszkańcom pobliskich wsi wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Nagle w rolniczych stodołach pojawiały się beczki z ropą, klucze i części do traktorów, nawet amunicja i broń (po co? – nie wiadomo). Jak nigdy dotąd, po wsiach wyciągano z piwnic aparaturę i pędzono bimber. Bo kto nie miał pieniędzy, ten miał spiryt, a eto wsio ryba.

Pewnego dnia na gumno u Mietka zajechał „ził”. Wsiadło z niego dwóch młodych mężczyzn. Zapytali Mietka, czy nie chce kupić agregatu prądotwórczego. A na co mnie agregat? – zdziwił się Mietek. Jak na wsi prąd zabiorą, albo trzeba będzie na polu jaką maszynę podłączyć, to jak znalazł, odpowiedzieli obaj. A na co on, na ropę? – dopytywał się Mietek. No przecież nie na spiryt. Na 220? Na 220. Odślonili plandekę „ziła” i pokazali. Duże i ciężkie, kręci nosem Mietek, i pewnie drogo. Możemy się potargować, mówi jeden. I na ryby dobry, dodaje drugi.

I tak oto Mietek stał się posiadaczem wojskowego agregatu prądotwórczego produkcji USSR o napięciu 220V, za cenę pięciuset tysięcy starych złotych i trzech litrów bimbrowy. Nad jeziorem unosiła się jeszcze poranna mgła. Płynęli łódką – Grzesiek wiosłował, a Mietek machał szufelką, ponieważ pod ciężarem agregatu łódka nabierała wody.

Płynęli do niedostępnej od strony lądu zatoki, gdzie panował spokój, było dużo ryb i nigdy nie pojawiał się żaden ponury wędkarz.

- Ale jednak co dętka, to dętka – powiedział Mietek.

- Co?

- Możesz ją przenieść w reklamówce. Jak już zajdziesz, to se ją nadmuchasz. Włazisz do środka, koło pod pachami i możesz ruszać. Takie koło to najlepsze na mokradła. Łódką nie przepłyniesz, a wpływ też nie, więc koło. Jak trzeba, to se idziesz po lądzie, a jak trzeba, to se włazisz do wody i majtasz nogami.

- A ubranie?

- Ubranie wkładasz do reklamówki i trzymasz jedną ręką na głowie.

- I po co ty tam leżysz?

- Czekać. Zabieram siatkę, Wiesz, gdzie ją mam? Przywiązuję do dętki. Dobrze, co? Kiedy już dotrę na miejsce, rozciągam ją. Nigdy tak dobrze nie rozciągniesz siatki, jak z dętki. A jak dobrze rozciągniesz, to i bóbr się zaplącze.

- A gdzieś ty widział bobra. Chyba, k..., w zoo.

- Nie bój się. Są, są.

Dobrnęli do brzegu. Obrócili łódkę przodem do jeziora. Grzesiek zabrał siekiere i poszedł w leszczynowy las. Mietek w tym samym czasie zabrał się za rozciąganie kabla. Po krótkiej chwili, mgła niosła już stukot rąbanej gałęzi. Na wojskowej kurtce Mietka pojawiły się krople rosy. Gdzieś na wodzie uskoczyła przed okoniem uklejką. Woda plusnęła, kręgi rozeszły się. Nastął znowu spokój.

Grzesiek wrócił z kilkumetrowym drągiem.

Przywiązali kabel.

Grzesiek stanął na przedzie łódki.

- Zapalaj – powiedział.

Mietek nacisnął przycisk. Złapał za rączkę i raptownie pociągnął. Linka rozciągnęła się do końca, lecz agregat nie zapalił.

Nawinął linkę jeszcze raz – szarpnął – nic. Nagle Mietek uśmiechnął się sam do siebie. Zapomniał przecież przekręcić zawór ropy. Przekręcił – założył jeszcze raz – szarpnął – udało się. Zaskoczył.

- Wkładaj – krzyczał Mietek.

- Wkładam – mruknął Grzesiek.

Warkot motoru jeszcze długo roznosił się po jeziorze. Aż opadła mgła. I rozwidniło się. I wtedy nie było słyhać już nic.

